

# Zgryźliwy                      tetryk                      na barykadzie

22 sierpnia 2015

Walka o przywództwo Labour mocno się skomplikowała. Za sprawą Jeremy'ego Corbyna, który miał odgrywać rolę outsidera, ale niespodziewanie wyrósł na faworyta do objęcia funkcji przewodniczącego Partii Pracy.



Dla szerszej publiczności wybory na szefa partii są zazwyczaj równie pasjonujące jak oglądanie filmu kina moralnego niepokoju. Niby dzieją się tam rzeczy ważne. Niby powinniśmy przeżywać razem z bohaterami rozterki duchowe. Niby zrozumienie przekazu i myśli przewodniej powinno nas wzbogacić intelektualnie i poszerzyć naszą wiedzę, ale w zasadzie czekamy na puentę, morał oraz napisy końcowe. I jakąś popcornową, bombastyczną, odmóżdżającą odtrutkę, żeby się odstresować. Wszyscy, którzy polityką zajmują się zawodowo, doskonale o tym wiedzą, dlatego wewnątrzpartyjne wybory, chociaż powinny, nie przykuwają większej medialnej uwagi. Chyba, że oprócz tradycyjnej walki buldogów pod dywanem, formowania aliansów, koterii i frakcyjnych wojen podjazdowych dzieje się coś jeszcze. Coś co może wzbudzić społeczne emocje. Tak jak w przypadku ciągłej rywalizacji na linii Blair-Brown,

albo jak podczas bratobójczej walki między Edem i Davidem Milibandami. I tak jak dzisiaj, kiedy zupełnie niespodziewanie niemrawe wybory na przewodniczącego pobitej w majowym głosowaniu do Izby Gmin Labour nabrały pikanterii. I znaczenia.

## **BÓJ PRZY OTWARTEJ KURTYNIE**

Najczęściej dla partii, która poległa w głosowaniu, powyborczy okres jest czasem politycznie straconym. Zwycięzcy formułują rząd, przedstawiają plany i projekty, a co za tym idzie ogniskują na sobie medialną i społeczną uwagę. Naturalnie zawłaszczają polityczną przestrzeń. Opozycja ma problem. Bo trudno punktować politykę partii, której obywatele dopiero co powierzyli władzę. Czyli wybrali jej propozycje programowe. Dlatego też powyborczy okres dla opozycji jest zazwyczaj czasem „odnajdywania źródeł porażki”, „słuchania społeczeństwa”, „nowego otwarcia”, „zmiany przekazu”, „przedefiniowania pryncypiów”. Co w praktyce oznacza chaos, szukanie winnych i rozliczenia. Dopiero po przepracowaniu traumy opozycja wraca do politycznej gry.

W tym roku Labour postanowiła to wszystko przełamać i jak najszybciej przejść do ofensywy. Pomysł, aby tymczasowe przywództwo partii powierzyć Harriet Harman co pozwoliłoby Labour utrzymać polityczną ciągłość i zdolność do szybkiego reagowania na bieżące wydarzenia był słuszny. Podobnie jak decyzja żeby wybory na przewodniczącego nieco upublicznić. Przynajmniej w teorii. Idea aby kandydaci na szefa partii przeprowadzili ze sobą szereg debat miała w zamyśle zwiększyć medialną obecność polityków i polityczek Partii Pracy oraz promować centrolewicową agendę. Debata kandydatów i kandydatek miała być stonowana, kulturalna i pokazywać pozytywne nowe oblicze Labour. I taka była, ale do czasu aż 66 – letni Jeremy Corbyn, który miał w zamyśle odgrywać rolę outsidera – lewicowego sumienia partii, zaczął zbierać coraz większe poparcie członków partii i zagrażać dwójce faworytów. Rywalizacja miała się rozstrzygnąć między dwoma zawodnikami

politycznej wagi ciężkiej: Yvette Cooper – była podsekretarz stanu w ministerstwie zdrowia, minister stanu ds. budownictwa i planowania, minister pracy i emerytur w rządzie Gordona Browna oraz Andy Burnham'em byłym podsekretarzem stanu w ministerstwie spraw wewnętrznych, a potem ministrem kultury, mediów i sportu. Liz Kendall oraz Jeremy Corbyn weszli do wyborczego wyścigu na szefa Labour, jako przedstawiciele odpowiednio – prawego i lewego skrzydła partii. Aby pokazać wewnątrzpartyjną różnorodność i, w granicach rozsądku, podwyższyć temperaturę dyskusji. Jednak rosnąca popularność Corbyn'a przekreśliła wszelkie wcześniejsze założenia, a dla Labour stała się prawdziwym problemem.

## **REWOLUCJA SENIORA**

Dziś kulturalna debata między politykami i polityczkami lewicy zamieniła się w bezpardonową walkę buldogów. Tyle, że nie jak zazwyczaj po dywanem lecz w świetle kamer. Trójka kandydatów zawiązała nieformalny sojusz przeciwko Corbyn'owi. I otrzymała wsparcie ze strony innych czołowych polityków Partii Pracy m.in. Chuka Umunna, (który był poważnym kandydatem do zastąpienia Eda Milibanda na czele Labour) oraz Toni'ego Blaira. Do chóru nawołującego do niegłosowania na Corbyn'a dołączyli także wpływowi lewicowi publicyści – Polly Toynbee (Guardian) i Andrew Rawnsley (Observer). Powód jest jeden. Jeremy Corbyn jest tak bardzo na lewo od centrum, że jako partyjny lider dla większości brytyjskiego społeczeństwa będzie nie do przyjęcia.

Według najważniejszych polityków Partii Pracy i lewicowych intelektualistów z Corbyn'em u steru Labour nie ma szans na zwycięstwo w wyborach. Problem w tym, że Corbyn ma to, czego bardzo brakuje pozostałym kandydatom, a właściwie całemu politycznym establishmentowi – charyzmę, ideowość i polityczny żar. Najstarszy wśród kandydatów wygląda najbardziej energicznie i żywiołowo. A do tego emanuje szczerością. W szeregu idealnie wyprasowanych, uczesanych, ubranych politycznych robotów wygląda autentycznie. I ludzko.

Razem ze swoją brodą, wymiętymi garniturami z lat 80 zeszłego wieku oraz wyblakłymi krawatami jest całkowitym zaprzeczeniem postpolityczności i antytezą partyjnego karierowicza. Najwięcej problemów stwarzają jednak jego poglądy. Ideowo Corbyn jest tak vintage, że w jego przypadku można już mówić o lewicowym hipsteryzmie. Co jest paradoksem. Polityczny senior uderza w swoich młodych oponentów lewicowym radykalizmem. I wywołuje partyjną panikę oraz paraliżuje polityczne tuzy. Bo jak zwalczać Corbyna skoro jego poglądy, chociaż w postpolitycznych czasach brzmią radykalnie, w praktyce stanowią bazę Partii Pracy?

Zasady, którymi kieruje się Corbyn i jego przekonania definiują również Labour. To pryncypia na których ta siła polityczna została zbudowana. Bezpardonowa krytyka posła z Islington North utwierdza bowiem w przekonaniu wszystkich tych, którzy zarzucają Partii Pracy zdradę lewicowych ideałów i stanie się nieco łagodniejszą wersją Partii Konserwatywnej. I tu rodzi się kolejny problem. Skręt Labour na prawo żeby przeciągnąć na swoją stronę centrowych wyborców grozi alienacją i utratą lewicowego elektoratu – wyborczego betonu niezbędnego do wyborczego sukcesu.

## **PARTYJNY ROZKROK**

Dla największej lewicowej siły politycznej w Wielkiej Brytanii każdy ruch jest ryzykowny. A polityczny rozkrok, w jakim tkwi teraz, oznacza kolejne lata w opozycji. Labour jest w ideowej oraz taktycznej rozsypce. I nie może się pozbierać. Partyjne góry składają się w głównej mierze z „blairystów” polityków centrowych. Na partyjnym dole dominują „lewacy”, dla których 13 lat rządów New Labour było w najlepszym razie straconą szansą, w najgorszym – zdradą. Obie strony mają coraz więcej kłopotu ze znalezieniem wspólnego języka. Blairyści mówią, że Labour przegrała, bo utraciła zdolność do zagospodarowywania głosów wyborców centrowych. „Lewacy” odpowiadają, że przyczyną porażki był odpływ młodych – radykalnych do Zielonych i SNP, a klasy robotniczej do UKiP. Dramat polega na tym, że obie

strony mają rację. Labour traci i na lewej i po prawej stronie, pomimo tego, że jej propozycje polityczne cieszą się większym społecznym poparciem niż pomysły Torysów. W tym kontekście nie ma większego znaczenia, kto stanie na czele Partii Pracy. Ani Yvette Cooper, ani Andy Burnham, ani Jeremy Corbyn nie ma szans ze sprawną konserwatywną maszyną Torysów. Brzydka prawda, której żaden z polityków Labour głośno nie powie jest, bowiem taka, że czas Partii Pracy dobiega końca. Przy niedemokratycznym, absurdalnym systemie wyborczym jaki funkcjonuje w Wielkiej Brytanii jedyną szansą na pokonanie konserwatystów jest stworzenie progresywnej koalicji – w skład której wejdzie zarówno Labour jak i LibDem oraz Zieloni. Na to jednak politycy Partii Pracy nie są jeszcze gotowi.

Autorstwo: Radosław Zapałowski

Zdjęcie: [David Hold](#)

Źródło: [eLondyn.co.uk](http://eLondyn.co.uk)